

Mieczysław Bielski

Dwie siemieńskie opowieści

Radzyński Rocznik Humanistyczny 11, 197-212

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.



Mieczysław Bielski

DWIE SIEMIEŃSKIE OPowieści:

Siemień – moja miłość...

i

Filar wiary...



I. Siemień – moja miłość. Część II

Wstęp

Pisząc przed laty wspomnienia za-tytułowane „Siemień – moja miłość” nie przypuszczałem, że tak mi się rozwinie ten temat. Byłem o te dwadzieścia lat młodszy i bardzo zajęty pracą zawodową. Podąłem tam głównie opisy przyrody, rybactwa i trochę o ludziach. Gdy głowa mi posiwała i przeszedłem na emeryturę, a szczególnie gdy w 2010 r. moje wspomnienia wyszły drukiem w tak poważnym czasopiśmie jak „Ra-

dzyński Rocznik Humanistyczny”, a następnie ukazało się w internecie, doszedłem do wniosku, że nie opisałem szeregu innych rzeczy, zjawisk i mych przeżyć z tamtych czasów¹.

A więc uznałem, że jestem dłużnikiem tego okresu, który kształtował mnie gdy byłem dzieckiem. *Errare humanum est*. Ale przyznanie się do winy to za mało. Człowiecze, przysiądź fałdów i dopóki twoje szare komórki nie całkiem jeszcze zsiwiały – pisz co oczy

¹ M. Bielski, *Siemień – moja miłość*, „Radzyński Rocznik Humanistyczny”, t. 10 (2010), s. 239-265.

twoje widziały, a umysł kodował. Pisz o wsi, urzędzie gminy, policji, agencji pocztowej i szczególnych ludziach, którzy tam występowali, swych kolegach ze szkoły lub tylko ze spotkań dziecięcych. O zabawach ludowych jak to przebiegało w latach trzydziestych.

Nie leń się człowieku, pisz o wyglądzie, zrachowaniach, cechach i o wspólnych zabawach.

Łatwiej jednak nakazać drugiemu, niż sobie samemu. Ale miej ambicje i przypomnij sobie powiedzonko ludowe „W rękach dobrej gospodyni każde ciasto rośnie”.

Wieś

Jak pisałem w pierwszej części mych wspomnień, wieś siemieńska była zintegrowana z majątkiem. Głównie dlatego, że była niewielka i dość biedna. Zaraz za domem Jana Dawidka, gdzie był sklep, stał dość duży dom Lejby Mandelkerna. Pisałem o tym poprzednio. Następnym domem mniejszym był budynek mieszkalny szwagra tegoż Lejby, nazywano go Duwid. Było to raczej imię, a nie nazwisko, ale nie wiem tego na pewno. Za jego domem przebiegała droga ze wsi w kierunku szosy i rybołówstwa „Bobowiska”, zwana – Za wsią. Po jej drugiej stronie był płot z desek zwany parkanem. Był tak ścisły, że nie było nic widać co tam się działo. O ile sobie przypominam mieszkał tam gospodarz Kaznowski, ale nie jestem tego pewny. Wiem za to, że miał on syna kilkunastoletniego, nie wiem o jakim imieniu. Następnym był dom chyba jakiegoś Dawidka, którego zięć dostał koncesję na sprzedaż wódek. Ten zięć nazywał się chyba Antoniuk. Dalej stał dom Pałaca, którego

córka wyszła za syna głównego rybaka majątkowego, Rutkowskiego. Miał on na imię Władek. Ten dom był postawiony trochę inaczej niż pozostałe. Stał bowiem frontem do drogi wiejskiej. Pozostałe raczej stały bokiem do drogi. Ponadto był on oddalony trochę od głównej drogi wiejskiej. Dalej był dom znów jakiegoś Dawidka, który zaczął go kryć eternitem. Ale w połowie dachu zabrakło mu pieniędzy, na ten dość drogi materiał i resztę pokrył słomą. Wobec tego wyglądało to dość śmiesznie. W połowie dach bezpieczny przed ogniem – eternit, a w drugiej połowie była strzecha.

Dalej stał dom rodziny Oleszczuków. Było tam chyba trzech synów: Wacek, Olek, który był krawcem i Tadzik prawie w mym wieku. W tej rodzinie były jeszcze dwie córki. Ładne dziewczęta. Jedna nazywała się Loda, a druga Fela. Dalej był dom Kalisza, którego nazywano Koń. To nie było brzydkie przezwisko, bowiem koń jest przecież szlachetnym zwierzęciem. Nie wiem dlaczego tak go nazywano, ale on nie czuł się tym urażony.

Pamiętam że, przy jego domu były drzewa owocowe, chyba wiśnie czy śliwki. Jeszcze dalej był dom pana Kaszlikowskiego, który robił łódki do łapania ryb na stawach dworskich. O nim pisałem dość dużo w pierwszej części.. Dalszych domów po tej stronie drogi nie przypominam sobie. Pod koniec wsi droga rozchodziła się w dwu kierunkach. Przy jednej z nich mieszkały rodziny Kwiatków, o których już pisałem poprzednio jako o świetnych wioślarzach. Ale tym zajęciem trudnił się szczególnie ojciec tej rodziny Józef i Szymek, najstarszy syn. W tej rodzinie był jeszcze syn, Broniek krawiec, które-



Autor z Matką i siostrą

go bardzo lubiłem i do którego często chodziłem. Trzeci syn Bolek był rolnikiem, a czwarty Tadzik też próbował wioślarstwa na łódkach z myśliwymi. Drugi z Kwiatków, rodzony brat Józefa, był rolnikiem i miał syna Adama. Jak nazywały się inne dzieci tegoż Franciszka nie wiem.

Kawałek dalej stał dom zamieszkały przez rodzinę Klajdów. Był tam syn Antek, który zginął podczas wojny zastrzelony przez Niemców i córka Janka, która pracowała u Ciotki mej matki Zenobii Czarkowskiej. Była dość ładna i inteligentna. Ten dom Klajdów stał jako ostatni zaraz nad rzeką Tyśmienicą wypływającą przez służę z wielkiego stawu.

Bliżej w stronę kościoła stały zabudowania rodziny Przystupów. Dwaj

synowie tegoż rolnika nazywali się Staś i Antek. Byli w mym wieku i już po wojnie, Staś przeniósł się do Parczewa, gdzie założył rodzinę. Co działo się z Antkiem nie wiem. Obaj byli bardzo miłymi chłopcami, a szczególnie właśnie Staś. Te zabudowania, o których obecnie piszę stały już po drugiej stronie drogi wiejskiej. Dalej był chyba dom Granata, który był sołtysem. Tenże gospodarz miał dwa domy i jeden z nich wydzierżawił na plebanię dla pierwszego proboszcza ks. Samulaka, o którym pisałem w pierwszej części. Sołtys miał dwu synów: Antka, którego zapamiętałem jako eleganckiego jak na tamte czasy młodego człowieka. Na przykład widziałem jak mył zęby szczoteczką. Jak miał na imię drugi brat nie pamiętam, ale wiem, że po wojnie

został księgowym bilansistą.

Za kościołem, takim maleńkim o którym pisałem wcześniej, była wolna przestrzeń między domami, z której zrobiono jakby dróżkę przejazdową w kierunku rzeki Tyśmienicy. Korzystali z niej mieszkańcy wsi, bowiem bardzo skracała drogę do Parczewa czy Miłkowa. Nie trzeba było objeżdżać dworu i urzędu gminy. Było to około 2 km bliżej. Ale to było możliwe tylko wtedy, gdy nie było spustu wód ze stawu, bowiem w takim wypadku była przeważnie zalana łąka nad rzeką i Tyśmienica była stanowczo za głęboka na przejazd wozem.

Zaraz za tą niby dróżką stały zabudowania rolnika i pszczelarza Powalki. Chyba zaraz za jego domem stał mały domek dość biednej wdowy o nazwisku Skoróbska. Piszę o tym szczególnie z tego powodu, że córka tej wdowy, o pięknym staropolskim imieniu Tekla, pracowała u mych Rodziców jako pomoc domowa. A ponieważ była dość inteligentna, co wyniosła z harcerstwa, zajmowała się trochę mną jako małym dzieckiem. Miałem wtedy chyba 5-6 lat. Dlatego o tym piszę, bowiem właśnie ta Tekla była pierwszym człowiekiem który mnie zainteresował Mickiewiczem.

Wynikło to z tego, że Tekla wyciągnęła nie wiem, skąd ilustrowany egzemplarz „Konrada Wallenroda”. Chyba trochę mi czytała, ale na pewno pokazywała ilustracje z tej publikacji. A więc mogę o Niej mówić, że była pierwszą mą nauczycielką odnośnie tego Naszego wieszca.

Kawałek dalej był dom i warsztat kołodzieja o nazwisku Czech. Proszę sobie wyobrazić, że w roku 2012 moja żona leżała w szpitalu w Parczewie na jednej sali z pewną panią, która na moje

pytanie jak się nazywa i skąd pochodzi, powiedziała, że jest córką kołodzieja z Siemienia. Od razu zawołałem, to pana Czecha i ucieszyłem się bardzo. Jakbym go od razu zobaczył. Dość wysoki, zawsze uśmiechnięty i wesoły. Od niego dowiedziałem się prawie wszystkiego o kołach wozu gospodarskiego. Dowiedziałem się co to dzwona, szprychy, piasta, tzw. kłódka taradynek i obręcz oraz jak się ją zakłada. Ten p. Czech był we wsi jedynym nie tylko kołodziejem, ale też stolarzem. Wiem to ponieważ coś tam z tych spraw naprawiał w naszym domu.

Teraz należy powiedzieć jak przy kratkach konfesjonału „więcej grzechów nie pamiętam”. Ja też więcej domów i rodzin ze wsi Siemień nie pamiętam, choć było ich jeszcze sporo.

Chłopcy ze wsi nie przychodzili do mnie do zabaw, z wyjątkiem ślizgawki na tzw. „Jeziórku”. To była taka mała sadzawka pomiędzy naszym „Domkiem”, za którym był rów dostarczający wodę na Bobowiska, a czworakami, gdzie mieszkali ludzie zatrudnieni przy pracach w majątku. Zimą gdy Jeziórko zamarzło robiono ślizgawkę na której ślizgali się zarówno chłopcy ze wsi, jak też z czworaków i ja.

Zbratania mieszkańców wsi i folwarku raczej nie było. Jedni nie lubili drugich. Ci zatrudnieni w majątku mieli zawsze, lub prawie zawsze, jakieś przewidziane dochody: pensja lub tzw. ordynaria, zaś ci ze wsi miewali jakieś dochody w zależności od pór roku jak żniwa lub inne jak kopanie ziemniaków i sprzedaż ich, albo jakieś dorywcze prace. Takimi był połów ryb i wypłaty za tę pracę. Mieszkańcy wsi nazywali pracowników dworskich „dworusy”, a ci określali mieszkańców wsi „chłopo-

roby”.

Czasem bywały małżeństwa mieszane, ale rzadko.

Zabawy: dzieci, dorosłych i nad Wielkim Stawem

Do mnie koleżeńsko przychodzili chłopcy z czworaków. Byli to wnukowie karbowego. Nazywali się Weliki: Czesiek starszy i Janek zwany zdrobniale Januś. Trzecim był syn stróża Stefan chyba Zieliński. Graliśmy w piłkę siatkową oraz w taką szczególną zabawę, nazywaną pikier. Polegało to na tym, że zaostrzony kołek wbijało się w ziemię około 10 lub 15 metrów od linii gdzie stawaliśmy. Na dany znak każdy

z nas rzucał kijem długim na 50-60 cm w ten stojący przed nami kij. Należało go przewrócić tak aby zupełnie wypadł z dołka, gdzie był uprzednio wbity. Ten kto wygrywał, zostawał jakby kierownikiem tej zabawy, czyli wbijał stojący kołek i dawał komendę do rzucania.

Gdy byliśmy młodszy graliśmy w klasy narysowane na ziemi według ustalonych reguł. Inną zabawą dziecięcą była tzw. gra w dwa ognie. Ale tę raczej uprawialiśmy w szkole, bo do tego trzeba było co najmniej 10 osób.

Dość niespotykaną zabawą obecnie, a uprawianą w tamtych czasach była huśtawka, ale w Siemieniu szczególna. Między dwa rosące zaraz na początku drogi zwanej Brzezinką drze-



Od lewej siedzą: Jan Czarkowski, na jego kolanie Anna Bielska (siostra autora), Matka autora Janina Bielska z synem Mieczysławem (autorem), Zenobia Czarkowska, ciotka Matki autora, p. Biskupska przyjaciółka. Stoją: Andrzej Czarkowski – malarz, pani Gniot, żona nauczyciela robiącego zdjęcie, i Jerzy Czarkowski.

wa umieszczono na dość dużej wysokości chyba około 10-12 metrów nad ziemią dwa uchwyty żelazne w formie jakby oczek, w które wkładano beleczkę drewnianą, ale dość grubą w której były zamocowane dwa drągi też drewniane. Miały one na dole przytwierdzone dwie mocno skręcone deski. Stawano na tych dolnych deskach, łapano się rękoma za te dwa drągi i rozhuśtywano to na dość duże wysokości. To nie była bezpieczna zabawa. Czasem gdy stanęli na tych dolnych deskach dwaj odważni chłopcy, ale tacy już dorośli, ta huśtawka potrafiła wynosić się prawie do wysokości tych dwu brzoź. Wokół stali uczestnicy zabawy i podniecali huśtających się, aby wzlatywali jak najwyżej. Dziewczęta raczej w tym nie brały udziału. Choć wyglądało to raczej niebezpiecznie, nigdy nie słyszałem o jakimś wypadku urwania się z tej huśtawki lub spadnięcia kogoś z niej.

Zabawy z muzyką były raczej rzadkie, bo po pierwsze trzeba było mieć do tego tzw. podłogę przenośną, czyli deski zbite po kilka razem i układane obok siebie dość szczelnie, ale na równej powierzchni. Takie składane podłogi były gdzieś raczej na wsi i trzeba było za nie zapłacić. A poza tym trzeba było do tego muzykantów. Takowymi byli zazwyczaj skrzypkowie, harmonista, ale w tamtych czasach nie z akordeonem, lecz z guzikówką i bębniście.

Szczególną zabawą było tzw. „święto morza”. Nie pamiętam, który to dzień był uznawany jako świąteczny z tego powodu. Ale w każdym razie było to obchodzone latem nad wielkim stawem. Na miłkowskim brzegu, gdzie był las należący do mieszkańców wsi Miłków. Aby było coś morskiego obchodzono to przy dużej wodzie, czyli

nad stawem.

Naturalnie była tam wyżej wspomniana podłoga do tańca, była orkiestra czyli skrzypek, harmonista i bębniście. Był bufet z przystawkami dość prostymi oraz był alkohol. Kiedyś organizatorzy poprosili wujka Jerzego Czarkowskiego, zajmującego się gospodarką rybną w majątku o wypożyczenie dużej łódki, którą miano przyozdobić na taki jakby okręt.

Wuj wyraził zgodę, ale aby nie kusiło kogoś na wypłynięcie na staw, wypożyczono taką trochę uszkodzoną, czyli nie nadającą się do pływania po stawie. Ta łódź stała blisko przy brzegu i została wystrojona jakby mały okręt. Miała maszty, żagle i inne utensylia prawdziwego statku w zmniejszeniu. Wiem, że na takie święto morza potrafił przyjechać kiedyś nawet hrabia Żółtowski z Milanowa, naturalnie czwórka koni.

Mówiono, że jego administrator, z pochodzenia Niemiec, przyjechał samochodem.

Wiem, że kiedyś na to świętowanie nad stawem pojechał nasz kuzyn inż. Wacław Sobierański, który akurat przywiózł swą matkę, czyli rodzoną siostrę mojej Babki i Augusty Zaorskiej oraz Zenobii Czarkowskiej do Siemienia. Ten Wacław Sobierański był dyrektorem technicznym gazowni warszawskiej. Potem opowiadał jak to miejscowi świniarze radzili mu pić wódkę nie kieliszkiem, lecz szklanką.

Ci świniarze to była śmietanka okolicznych wsi z Miłkowem na czele. To byli handlarze skupujący od wiejskiej ludności tucz świński. Takim jakby szefem ich, choć sami byli niezależni, był pan Michałowski w Miłkowie. On miał odpowiednie hale na stacji kolejowej

wej w Parczewie i tam były zwożone te świny do dalszego transportu. Świniarze jeździli po wsiach wozami konnymi trochę wydłużonymi, na które kładziono te kupione świny. Przywiązywano je łańcuchami podkładając tylko trochę słomy, aby nie raniły leżących na bokach świń. Pamiętam, że takimi świniarzami poza naturalnie Michałowskim, byli Mroczek, Klukowski, jeszcze jakiś inny z Miłkowa oraz Piesta z Władysławowa.

To byli najbogatsi ludzie na wsiach. Na takiej zabawie oni więc wiedli prym.

Miała jeszcze być piękna jeśli nie zabawa, to obóz harcerski, na wyspie Zielony Grąd Wielkiego Stawu. Dokładnie w jakim to było roku, nie pamiętam, ale chyba między 1936 a 1938. W Czemiernikach był bardzo prężny hufiec harcerski prowadzony przez nauczyciela, czy też może nawet kierownika (przed wojną nie było tylu dyrektorów na byle jakiej placówce jak obecnie) tej szkoły powszechnej.

Tenże więc harcmistrz przyjechał do Siemienia i uzgodnił z wujem Czarzkowskim czy w ogóle można to załatwić i jak się tam dostać. Wuj uprzedzał go, że tam są straszne komary wieczorami, ale odważny harcmistrz powiedział, że to może być „szkoła życia” dla harcerzy.

Wobec tego chłopcy przyjechali. Nie wiem ilu ich tam było i zostali przewiezieni łódkami na wyspę Zielony Grąd. Zapowiadało się ślicznie, bo kilka pięknych dni chłopcy wytrzymywali. Wieczorami były wielkie ogniska widoczne nawet poza stawem i słychać było piękne śpiewy. Niestety po kilku dniach, tenże ich komendant zrezygnował z dalszego pobytu i prosił aby

dano im łódki do odwrotu. Cóż, w tamtych czasach nie było takich środków ochronnych, jak obecnie i dzielnych harcerzyków zmogły małeńkie stworzonka – komary.

Urząd Gminy, szkoła, policja, agencja pocztowa i poszczególni ludzie

Przed wojną w Siemieniu Urząd Gminy mieścił się w trzech pokojach. W pierwszym takim jakby wejściowym, coś w rodzaju holu czekali na załatwienie petencji. W drugim urzędował pan Jan Kiszka urzędowo zwany pomocnikiem sekretarza oraz p. Dziewólski nazywany pomocnik pomocnika. W trzecim najważniejszym na środku stało biurko Pana Sekretarza, a trochę z boku przy ścianie małe biurko wójta. Status sekretarza był znacznie wyższym niż wójta w tamtych czasach.

Pierwszym sekretarzem, którego pamiętam był p. Narębski. Miał on synka Arkadiusza, zwanego zdrobniale Niuniek, z którym się bawiłem. To był miły, dość inteligentny pan. Po kilku latach przenieśli go do gminy Wohyń koło Radzyna. To był raczej awans, ponieważ sama miejscowość Wohyń była znacznie większa od Siemienia. Następnym był p. Lipski. Nie pamiętam jego imienia, ale był raczej zaprzeczeniem poprzednika. Mały, łysy i jakiś taki ponury. Miał czworo dzieci, syna i trzy córki. Nie pamiętam jak się nazywały, bo jakoś z rodzicami nie nawiązywaliśmy z nimi kontaktów, jak z p. Narębskim.

Należy tu zaznaczyć, że wyżej wymieniony pan Jan Kiszka, urzędnik gminny dobrze obeznany ze sprawami mieszkańców całej gminy, gdy weszli Niemcy, powiedział w zaufaniu memu

Ojcu, że „dla Niemców nie będzie pracował”. Nowym wójtem został Miller, dawny dróżnik mieszkający przy szosie jak wszyscy dróżnicy. Przypuszczano, że był on szpiegiem niemieckim, który m.in. dał znać o hydroplanie stacjonującym na Wielkim Stawie.

Ciekawostką było, że studnia przy gminie była bardzo głęboka. Wiadomym było, że w miejscowości Siemień było blisko do wód gruntowych. Z tego powodu wszystkie studnie były bardzo płytkie i wodę czerpało się przy pomocy żurawi. Pisałem już o tym w pierwszej części, ale tu powtórzę, że na podwórzu folwarcznym studnia była też z żurawiem, a wodę czerpano z głębokości chyba 2 lub najwyżej 2,5 metrów.

Nie wiem jak to się stało, ale studnia przy gminie była bardzo głęboka, chyba na 10 lub więcej metrów. Wodę pobierano przy pomocy wałka drewnianego kręconego korbą z umocowanym na stałe łańcuchem i wiadrem. Woda z tej studni była rzeczywiście doskonała.

W Siemieniu była szkoła czteroklasowa, a uczenie się w niej było robione dość dziwnie. Tam była tylko jedna izba szkolna. A więc połowa tej izby to były dzieci przerabiające pierwszą klasę, a druga połowa to były dzieci drugiej klasy. W ten sam sposób uczyły się dzieci przerabiające trzecią i czwartą klasę. W całej gminie była tylko jedna szkoła siedmioklasowa w Juliopolu.

Początkowo nauczycielem w Siemieniu był pan Skubisz, a potem młoda panna Kasia Rondkowska. Wiem za to, że wyszła ona za męża za pana Mrocza trudniącego się skupem świń, o czym pisałem wyżej. Należy przyznać, że w tzw. konkury dojeżdżał on do niej motocyklem i to dość dużej pojemności.



Autor z rodzicami i siostrą

Jeśli chodzi o policję to początkowo był w Siemieniu policjant o nazwisku Wierzchowski, a potem utworzono posterunek, aż trzyosobowy. Komendantem był p. Dziedzio, a zwykłymi policjantami byli Kumor i Słomiński. Tenże podobno później ożenił się w Siemieniu, czy gdzieś w pobliżu. Posterunek został umieszczony w domu, który zostawił jakby dla siebie, ten uprzedni policjant Wierzchowski, na zbiegu dróg tzw. Czemiernickiej i Brwinowskiej. Ta ostatnia obecnie nazywa się Polną. Ci dwaj młodzi policjanci grywali w piłkę siatkową na placu szkolnym, ale komendant tylko im się przyglądał. Uważał, że nie wypada mu podskakiwać z podwładnymi (jakże obecnie jest inaczej, sam premier gra na boisku w piłkę nożną).

Początkowo w Siemieniu był tylko listonosz, który miał za zadanie przynieść z Parczewa korespondencję do Siemienia i tu ją rozdać adresatom. Ani władz poczty, ani nikogo z gminy nie obchodziło jak ten biedny listonosz ma dostarczyć przesyłki pocztowe z Par-

czewa do Siemienia. Roweru mu nie kupili i nie dali. Wiem, że czasem dośiadał się do jadących pojazdów w tamtą stronę lub z powrotem. Takie były tamte czasy.

Niedługo jednak przed wojną powstała tzw. agencja. Znalaziono jakiś lokal na tę instytucję i zatrudniono człowieka. Nie pamiętam czy ten biedny p. Szostak, bo tak brzmiało jego nazwisko pracował dalej roznosząc korespondencję osobiście. Wiem za to, że chyba rok czy dwa przed wojną został założony telefon z tej agencji do naszego majątku. W urzędzie gminy był chyba wcześniej.

Jeśli chodzi o szczególnych ludzi w okolicach Siemienia, to pozwolę sobie wymienić tylko kilku. Może dlatego, że osobiście bez miodu nie wyobrażałem sobie życia, a przy tym jest to produkt bardzo zdrowy.

Wymieniam tu pana Wojciechowskiego, dość bogatego gospodarza na kolonii siemieńskiej w pobliżu drogi zwanej uprzednio Brwinowską. W pewnym oddaleniu od tejże raczej polnej drogi. Kupowaliśmy u niego wspaniałą miód i to w dużych ilościach. Przypominam sobie, że kiedyś pojechaliśmy z Ojcem takim figielkiem jednokonnym do niego i zakupiliśmy słownie dwa wiadra płynnego jeszcze miodu. Był wspaniały i wystarczył nam na całą zimę.

Drugim ważnym dla mnie człowiekiem był rymarz, pan Janiszewski, który mieszkał też na kolonii siemieńskiej, ale przy drodze idącej w kierunku Wierzchowin. To był wspaniały rzemieślnik w swym zawodzie. Od czasu do czasu był angażowany do nas, czyli do dworu, aby uzupełniać lub naprawiać sprzężaj dla koni, czy to cu-

gowych, czy fornalskich. Wiadomo bowiem, że jeśli konie mają ciągnąć duży ciężar to uprzęż musi być mocna. Gdy pojazd był paradny, którym jeździło się w odwiedzinach lub choćby do miasta, winien być taki jak konie w swych ładnych zaprzęgach i wyglądały ładnie. Zaraz przy domu pana Janiszewskiego stał dom jego siostry Ślepeckiej, której syn przyuczał się do zawodu wuja.

Również na kolonii siemieńskiej, ale prawie przy szosie z Lubartowa do Parczewa mieszkał i miał swój warsztat stolarski p. chyba Kamiński. Miał on dwoje dzieci Zbyszka i Halinę, z którą zetknąłem się już podczas wojny w szkole siedmioklasowej w Juliopolu.

Ten pan (przyjmijmy) Kamiński zrobił dla mnie przed wojną saneczki dziecięce. Ciągał mnie na nich mój Ojciec. Zjeźdzaliśmy na nich z siostrą z naszej wymienionej w poprzednich wspomnieniach, lodowni czyli naszej górki w parku. Te saneczki przysłużyły się nam bardzo dobrze w czasie wojny, gdy trzeba było z urzędu gminy w Siemieniu przywieźć do Juliopola przydział mąki na cały miesiąc. Nie mieliśmy żadnego środka lokomocji, nie mieliśmy też pieniędzy aby nająć jakiegoś wozaka, a więc na tych saneczkach wieźliśmy tę mąkę. Było tego niewiele, ale zawsze kilkanaście kilogramów mąki z której piekliśmy chleb na cały miesiąc. Wtedy dopiero doceniłem co znaczy wyjątek z modlitwy Pańskiej: „Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj”. Jakże trudno jest wytrzymać, gdy ma się jak ustaliliśmy rodzinnie, po trzy kromki wielkości małej dłoni dziennie na każdego członka rodziny. Te saneczki dotrwały aż do lat 60-siątych.

Mało wiem o jeszcze innym panu, Bylickim. Też mieszkającym na kolonii

siemieńskiej, ale o nim wiem tylko, że to był dość bogaty włościanin i miał syna, z którym trochę zetknąłem się w szkole siemieńskiej.

Cóż, pora chyba kończyć tę siemieńską opowieść z poza majątku.

Pomyślałem, że jeśli zacząłem od wstępu, winien być też finał. I tu znów pojawił mi się szkopał. Cóż, zakończenie winno być nie długie.

U mnie to aż trzy motywy z podpunktami: trzy, trzynaście i jeden.

Finał

I. Jeszcze trochę majątkowy

Widziałem na własne oczy jak przez wielkie podwórze folwarczne majątku, dzika kaczka prowadziła kilka, chyba 5 – 7, swych małych kaczątek. Zorganizowaliśmy natychmiast ochronę przed psami, kotami czy nawet ludźmi i spowodowaliśmy, że mama kaczka zaprowadziła swoje dzieci tam gdzie chciała.

Drugi przypadek to gwizdanie żółwia latem z sadzawki za stodołą dworską. Nie wiem czy rzeczywiście żółwie gwizdzą, ale ja tak to przyjąłem i w to wierzę.

Trzeci przypadek to palenie przez wujów Czarkowskich bębenków i więcierzy, które służyły złodziejom do łapania ryb.

II. Dźwięki i zapachy nie do odtworzenia w obecnych czasach

1. Klepanie kos przed sianokosami, przy użyciu tzw. babki, czyli takiego małego jakby kowadłka. Do tego trzeba mieć dobre oczy i wprawną

rękę oraz specjalny młotek. W majątku robił to świetnie p. Welik, zięć karbowego.

2. Ostrzenie kos na toczaku ręcznym z piaskowca.
3. Podostrzanie kos łączone z pewnym odpoczynkiem całego rzędu kosiarzy na łące przy pomocy tzw. patki, którą należało zwilżyć.
4. Obkaszanie kosami pól na rogach i w miejscach, gdzie nie było wjazdu koni ze żniwiarką.
5. Trajkot żniwiarki.
6. Młócenie na polu zboża maszyną na słomę targaną.
7. Młócenie zboża cepami – jeden to bardzo łatwa sprawa – buch, buch. Dwa to już pewna umiejętność, aby nie spotkały się bijaki nad klepiskiem – buch, buch. Trzech to duża trudność – buch, buch, buch, a czterech to już poważna sztuka wymagająca piątego człowieka, który umiejętnie wprowadzi tego czwartego w odpowiedni rytm.
8. Pranie kijankami po siemieńsku, w wodzie bieżącej lub w „jeziórku” na ławce której dwie nogi wstawiało się do wody. Sztuki do prania leżały obok zaś uprane odkładało się na drugim końcu tej ławki. Na takiej ławce klęczało się.
9. Turkot kołowrotka, cichutki, monotony, ale absolutnie równy.
10. Dobijanie na krosnach nitki wprowadzonej czółkiem w osnowę płótna.
11. Krajanie słomy na sieczkę ręcz-

- ną sieczkarnią.
12. Skrzywienie żurawi studziennych.
 13. Ściganie się wozów „żeleźniaków” na drodze brukowanej tzw. kocimi łbami, po rezyrkacji, aby być pierwszymi na śniadaniu wielkanocnym.

A teraz zapachy nie do odczucia obecnie przy umaszynowaniu koszenia traw. Trawa ma być skoszona ręcznymi kosami i grabiona drewnianymi grabiami. Potem zwieziona wozem konnym i umieszczona w brogu. Kto nie spał w takim brogu, na grubym prześcieradle z płótna robionego na krosnach, ten nie pozna nigdy tego tak szczególnego przepięknego zapachu świeżego siana koszonego, grabionego i zwożonego w ten sposób.

III. Żart najwyższej finezji opowiedziany przez wuja Jana Zaorskiego syna jednego przedstawionych panów. My z rodziny wiemy, że ci bracia nie byli do siebie podobni:

„W mieście dość dużym, jak np. obecnie Lublin, na ulicy idzie na przeciwko siebie dwu panów. Są elegancko ubrani i noszą kapelusze typu melonik. Zbliżając się do siebie, zatrzymują się. Jeden z nich uchylając trzema palcami melonik mówi: Przepraszam pana, czy to pan czy pański brat? Zagadnięty uchylając też trzema palcami melonik odpowiada: To nie jestem ja, to jest mój brat. Obaj panowie dotykając lekko palcami ronda meloników, mówią – przepraszam i odchodzą każdy w swoją stronę.”

FINIS CORONA OPUS

II. Filar wiary, czyli Kapliczka św. Jana Nepomucena

Pierwsze zapiski historyczne o Siemieniu pochodzą z 1417 roku. Była to podobno prywatna wieś szlachecka. W pewnym okresie musiała jednak być majątkiem królewskim, bo skąd powstałaby nazwa „grobla tatarska”?

Tak bowiem nazywano wielki wał ziemny, który zatrzymał wody rzeki Tyśmienicy, płynącej od strony Ostrowa. Nizinne łąki przyrzeczne stały się w ten sposób wielkim stawem. Miał on około 3 km długości i 1 km szerokości. Rodzinna legenda głosiła, że ten wał, czyli groblę usypali jeńcy tatarscy. Musiało ich być bardzo wielu, do takiej roboty. Przypuszczać więc można, że tylko królewskie dobra mogły sobie na to pozwolić.

W końcu XVII wieku majątkiem tym zawiadował wielki kanclerz korony, Małachowski. O tym rodzie w Siemieniu pisano jeszcze w początkach XIX wieku.

I

Mój pradziad, ze strony Matki, August Zaorski, kupił ten majątek od niejakiego Rudnickiego w roku 1872 i od tego czasu, aż do II wojny światowej był w posiadaniu rodziny Zaorskich.

Moja najbliższa rodzina, czyli babka Józefina Grodzicka z córką Janiną Bielską, jej mężem Tomaszem i nami czyli dziećmi, Anią i Mietkiem, zamieszkała w tym majątku w latach trzydziestych ubiegłego wieku, przybywszy z Białostoczczyzny.

W tym czasie w majątku mieszkały trzy córki Augusta Zaorskiego: Józefina Grodzicka, Zenobia Czarkowska i Augusta Zaorska, plenipotentka całej

rodziny.

Każda z tych rodzin miała oddzielne domy mieszkalne, zwane dość krotkoczwilnie:

„Dołkiem” – to był dwór, „Górką” stojącą rzeczywiście na małym wzniesieniu i „Domkiem” przerobionym z rządówki. Gdzie mieszkali Bielscy.

W pobliżu naszego „Domku” stała barokowa kapliczka, pochodząca podobno z lat 1770-71 ze Świętym Janem Nepomucenem.

Kto i na jaką intencję postawił ją, nie wiadomo.

W tamtym okresie majątek ten był w rękach rodziny Małachowskich. Im więc chyba należy zawdzięczać wzniesienie tej sakralnej budowli.

Należy zwrócić uwagę, że był to okres chwiania się przed upadkiem Rzeczypospolitej. Może więc chodziło o podtrzymanie ducha ludności, a może po prostu prośba do niebios, o odwrócenie chciwości rąk sąsiadów.

Może miała ona być jakby filarem, podtrzymującym polskość i katolicyzm Siemienia. W każdym razie w okresie mojego dzieciństwa, lat trzydziestych związałem się z nią tak mocno, że nawet obecnie, ten kiedyś kilku – kilkunastoletni chłopczyk, dobiegający teraz osiemdziesięciu sześciu lat życia, gdy tylko jest w Siemieniu, podjeżdża do tej kapliczki aby ją pozdrowić.

Zajmuje ona bowiem poważne miejsce w ogródku serca mego.

Gdy się kogoś kocha, a nawet tylko lubi, chciałoby się o obiekcie swych czuć opowiadać lub pisać.

II

Kapliczka świętego Jana Nepomucena to poważna budowla, z cegły palonej, otynkowana, czworoboczna

w kształcie słupa o trzech kondygnacjach. Część dolna jest ozdobiona paroma pasami gzymsów. Każdy z nich jest zwiększony o dodatkowy pas. Ostatni górny jest wykończony dachówką. To pierwsza kondygnacja tej kapliczki.

Ozdobność poszczególnych jest jakby narastająca. Pierwsza jest najskromniejsza. To podstawa, fundament.

Druga ma już cztery pasy gzymsów i każdy jest zwiększony o jeden dodatkowy. Jest ich aż cztery, ale drugi jest cokolwiek mniejszy, od trzeciego i czwartego. Między pierwszym a drugim pasem gzymsów są jakby pilastry z wnękami.

Trzecia kondygnacja ma największy pas gzymsów. Jest jakby cokolwiek wachlarzowata, bowiem jej średnica przekracza o kilka centymetrów dolne pasy gzymsów, a może nawet szerokością sięga samej podstawy przy ziemi.

Ona tak samo jak pierwsza kondygnacja jest wyłożona czerwoną dachówką.

Na tym największym gzymsie stoją w przedłużeniu dolnych pilastrów cztery słupki posiadające każdy zwieńczenie, kwadratowymi głowicami, ozdobionymi znów małymi gzymsikami również rozrastającymi się wachlarzowato. Między tymi słupkami stoi figura świętego Jana Nepomucena. Kiedyś za moich czasów, czyli przed wojną była ona trochę szarawa, podobna w kolorze do przydrożnych krzyży. Do tego prawa ręka świętego trzymająca krzyż, miała poważne pęknięcie szerokości może nawet więcej niż półtora centymetra. Jeśli rzeczywiście kapliczka ta łącznie z figurą świętego pochodziła jeszcze z roku 1770-71 i jakkolwiek miała przykrycie sklepieniem, o którym

pisze niżej, to na szarugi wiatrów była podatna. Aż dziw, że trwała tak długo, bo to przecież około 170 lat.

Przejdę do opisu sklepienia. Jest ono okrągłe i dość wysokie nad głową świętego. Są tam jakby trochę zaokrąglone stożki leżące nad każdym słupkiem, schodzące się na środku sklepienia, naturalnie na zewnątrz. Nad tym wszystkim, czyli na samym środku sklepienia jest umieszczony krzyż. Taki zwykły, prosty bez żadnych ozdób, jaki każdy z nas winien nosić w sercu, ale z lekkim obrzeżeniem całości cienkim paskiem metalowym.

Można to zobaczyć albo osobiście, albo na zdjęciu z dużym powiększeniem.

III

Kapliczka ta stoi na skrzyżowaniu trzech dróg, ale nie t. z. „rozstajnych”, lecz właśnie wewnętrznych dla tej miejscowości.

Jedna wiedzie do wsi Siemień, druga do szosy Lublin – Parczew, a trzecia do urzędu gminy i dalej do Parczewa właśnie tę groblę zwaną tatarską. Jest też z niej zjazd do dworu otoczonego kiedyś wielkim, pięknym parkiem. Były tam niegdyś trzy piękne aleje lipowe oraz kasztany, klony i jesiony strzeliste. Były też trzy wielkie białodrzewy, nazwane przez nas dzieci – baobabami. Były też modrzewie, świerki a nawet grusze. Naturalnie było tam masę krzewów. Przed samym dworem był t. z. gazon, czyli wielki kłęb, na którym w środku rosła duża kępa dzikich róż – głógów: Gazon ten przecinał mały rowek jakby strumyczek, doprowadzający wodę do sadzawki zwanej pałacową.

Ponieważ kapliczka nie była ni-



czym oddzielona od przebiegających zaraz obok dróg, moi Rodzice postanowili zabezpieczyć ją płotem i włączyć do takiego „mini parku”, który utworzyli przy naszym „Domku”.

Mimo tego, że stała ona raczej z boku a nie w środku, uważaliśmy ją za najważniejszy punkt tego naszego ogrodu. Do podniesienia estetyki tegoż przyczyniły się na pewno trzy wielkie stare lipy rosnące po bokach kapliczki. Pachniały one oszałamiająco w czasie kwitnienia.

Na jednej z nich było gniazdo bocianie, a to przecież nasze polskie ulubione ptaki. Czasem nawet nazywają je świętymi. Należy zaznaczyć, że nie zanieczyszczały ziemi wokół swego gniazda. Zresztą dbaliśmy, szczególnie my dzieci, aby trawniczki, i ścieżki były przy kapliczce szczególnie zadbane.

W ciepłe czerwcowe dni, aż do

września, chodziliśmy tam z siostrą odmawiać ranny pacierz.

Pamiętam jak pięknie klekotały bociany, czy to rano, czy gdy nadlatywały obce ptaki. Pamiętam jak podskakiwały i machały skrzydłami młode bocianięta kiedy uczyły się latać...

Lata trzydzieste płynęły przynajmniej dla nas pogodnie. Byliśmy zadowoleni, że mamy w naszym „mini parku” świętego Jana Nepomucena, dla którego dzień imienin był przed wojną ustanowiony na 16 maja.

Kiedyś jeszcze przed I wojną światową było w zwyczaju, że kobiety były nazywane właśnie imieniem tego świętego, zarówno n.p. moja Matka, jak też późniejsza teściowa, obchodziły imieniny – 16 maja. Wiem, że Ojciec czasem żartował, że ma żonę noszącą imię męskie – Janiny – Nepomucen.

W roku 1931 została erygowana w Siemieniu parafia, której pierwszym proboszczem został ks. Jan Samulak. Był on wielkim przyjacielem mych Rodziców. W 1936 roku udzielił mi Pierwszej Komunii Świętej.

Do tegoż kościółka, małego drewnianego, który obecnie nazwałoby się chyba kaplicą, cioteczny brat Mej Matki, Andrzej Czarkowski namalował obraz Przemienienia Pańskiego.

Potem przyszła wojna. Niemcy zrzucili na hydroplan polski, oczekujący startu ze stawu siemieńskiego, zapalające bomby. Polscy saperzy podminowali most na Tyśmienicy i uszkodzili go, uniemożliwiając przejazd. Dało to piękny efekt zatrzymania zwiadu niemieckiego i wzięciu do niewoli przez siemieńskich policjantów, trzech Niemców.

Na przełomie zimy 1940-41 na polecenie władz niemieckich, usunięto

nas – Bielskich z majątku, a potem moją Babkę Grodzicką, bo nam pomagała. W majątku zostały trzy stare kobiety i Jerzy Czarkowski, który jako ichtiolog prowadził olbrzymie liczące 600 ha gospodarstwo rybne.

Nie wiem czy była to opieka „naszego świętego”, czy jakieś inne względy, których co prawda Niemcy nie lubili stosować, ale ani usunięcie nas, ani Babki z Siemienia nie było drastyczne. Dano nam jeszcze furmanki dworskie do wywozu mebli oraz zapasów jedzenia i ubrań.

Ale już na pewno było opieką „naszego” świętego to, że wuj Czarkowski, który pracując przecież w tym majątku, a więc będąc na co dzień pod okiem okupanta, zorganizował komórkę AK i był jej przełożonym. I nikt go nie zdradził.

Gdy w 1944 r. zapanował komunizm to ludność z Siemienia wybrała dwa razy tegoż Wuja Czarkowskiego na kierownika majątku. Naturalnie władze nie zgodziły się na to, Wuj został aresztowany i wywieziony do ZSRR. Ale potem powrócił i dożył 90 – ciu lat w kraju.

IV

Lata płynęły i czas przychodził nowy. Nasz „Domek” łącznie z tym „mini – parkiem” zostały unicestwione. Stare piękne wielkie lipy wycięto. Nie ma pięknego parku przy dworze, trzech alei lipowych, kasztanów, klonów i kępy głogów na gazonie. Wycina się jesiony strzeliste. Ale kapliczka stoi nienaruszona z tym, że był okres niezabezpieczenia jej od drogi, jakby o niej zapomniano, aż przyszedł rok 1999 i ktoś skradł figurę świętego.

Jak tam wszedł i dlaczego nikt

tego nie zauważył? - nie wiadomo. Ale święty zaginał.

I tu właśnie przydarzyło się coś szczególnego. Poprzednio jakoś nikt, choć figurka świętego była dość zniszczona, popękana i taka szara jak krzyże przydrożne, nie zainteresował się aby ją odnowić.

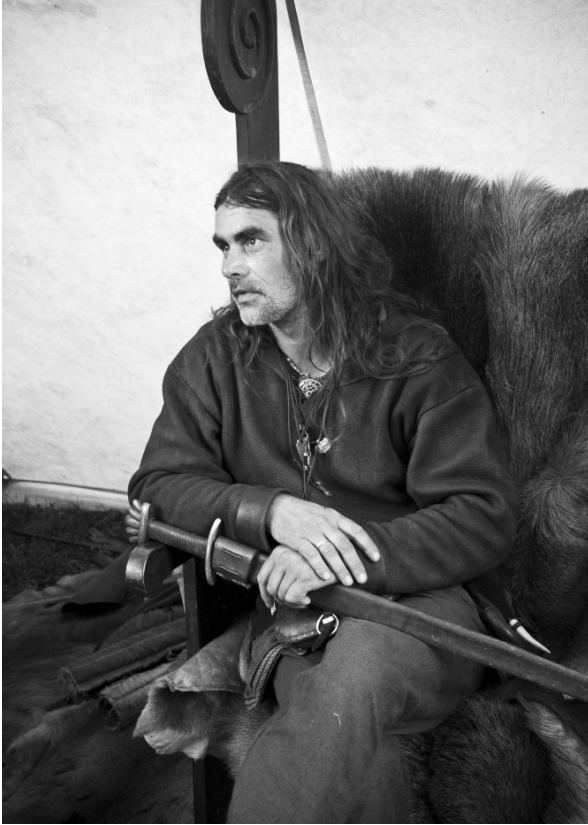
Ale gdy znikła siemieniacy poczuli się jakoś źle. Ludność uznała, że należy zadziałać, bo przecież kapliczka bez świętego, nie może być!

Zięć ówczesnego sekretarza gminy, Pana Dawidka – Jakub Gryglicki, artysta – rzeźbiarz po Poznańskiej Akademii Sztuk Pięknych, podjął się tego zadania. Nie było to wcale łatwe, bo siemieniacy chcieli, aby święty był taki sam jak ten poprzedni.

Artysta to wykonał. Znaleźli się sponsorzy, nastąpiło poświęcenie i umieszczenie figury w tej starej kapliczce.

Jest ona obecnie bardzo ładnie ogrodzona i naprawdę zadbana.

A mnie, gdy pisałem to opowiadanie, nie wiem dlaczego przyszła do głowy myśl, aby nazwać tę piękną kapliczkę ze świętym Janem Nepomucenem – filarem wiary. Przecież filar to element podtrzymujący...!



Fot. Paweł Żochowski